

MARYA SEGENY.

OTCHŁAŃ

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

6)

W jakim celu ten człowiek dopytywał się o nią? Czy jako pryncypał, szef, zadowolony z jej pracy, czy też jako mężczyzna, uderzony jej kobiecością. A może był to tylko zwyczajny zwrot grzeczności, zależny od jego stosunku do pani Luny, która chciała ująć wspomnieniem o jej polegowanej?

Marta do tej pory, nie zwróciła uwagi specjalnej na swoich szefów.

Młodego Wankego widziała w przełocie dwa czy trzy razy w pracowni krawieckiej, dokąd zeszedł z jakimś poleceniem dla panny Karoliny i pierwszej panny, przełożonej nad resztą pracowników. Nie wiedziała nawet dobrze jak wygląda, zajęta swoją pracą i pragnieniem ulagodzenia wiecznie zirytowanej, zgorzkniałej i przykrej dla otoczenia starej panny.

Od dziś jednak, postanowiła Marta baczniej go obserwować i starać się wybadać przyczynę jego uwagi, zwróconej ku jej osobie.

Tak, jak zawsze była jedną z pierwszych przybyłych.

— Dzień dobry pani, panno Karolino — przemówiła grzecznie, zwracając się do wysokiej, chudej kobiety, poprawiającej przed lustrem, rzadkie kosmyki rozstrzępionej grzywki.

— Dzień dobry brzmiała niechętna, sucha odpowiedź.

Marta zdjęła szybko płaszcz i kapelusz, umieściła na wieszadle i usiadła na swoim miejscu. Pracownia była duża i dosyć widna. W jednym rogu stał duży piec kaflowy, do którego dokładała w tej chwili węgiel z dużego kubła, mała, blada, kilkunastoletnia dziewczynka.

Była to uczennica praktykująca, używana do różnych posług i posylek.

Granatowa, wypłowiała już suknia zwieszała się niedbale na jej nieufirmowanej jeszcze figurze, uwydatniając kanciastość ramion i łokci i dekę piersiową, płaską, zapadniętą mocno.

Łobuzerski, cyniczny wyraz twarzy, podśladła jeszcze grzywką, drobno zafrizowaną, zakrywającą całe czoło aż po brzeg brwi, nieumiejętnie podczernionych.

— Ah! panna hrabianka już przysłała! — zawołała piskliwym głosem, podbiegając ku Marcie. — Jakże noc przeszła? Śniła się zapewne kareta złocona i rozkochany śliczny, młody królewicz, brzdąkający na gitarze. Oh! hrabianka coś zła — zauważyła spojrzawszy na zamyśloną twarz Marty. — Może kochanek kanfem puścił?

— Baśka! Nie małpuj, ty szczeniaku nieznośny — rozległ się donośny, suchy głos panny Karoliny. — Zabieraj się zaraz do roboty! Masz tu! Fastrygi wyciągał, a porządnie. Do brania pieniędzy to każda pierwsza. Ale czas tracić na figlach, albo sentymentalnym rozmyślaniu — spojrzała zjadliwie ku Marcie — to umiecie najlepiej. No, dalej! siadać już!

Baśka zakręciła się po pracowni, wyciągnęła język w stronę odwróconej panny Karoliny i ciężko opadła na krzeselko, które aż zatrzeszczało pod nią.

— Przeklęty bęben! — syknęła panna Karolina. — Baśka! zabaczysz, że wylecisz stąd zanim się spodziewasz!

— Nic mi nie robi — zachichotała mała, pochylając się ku Marcie. — Ja ją mam w ręku, a nie ona mnie!

— Dlaczego? — zdziwiła się Marta.

— Eh! Dużo by tu było do gadania! Jej się zdawało dotąd, że ona tu panią najpierwszą i pomiataną wszystkimi, a mną najwięcej... Ale ja coś podpatrzyłam... parę dni temu... myślała, że Baśka to stołek albo maszyna, co nic nie rozumie i nie widzi! Oh! właśnie! Póty jej po piętach deptałam, aż wypatrzyłam... i ona o tem wie... więc sobie teraz pozwalam.

— Coś ty podpatrzyła Baśka? Co? — pytała się ciekawie, tęga, rumiana dziewczyna, nie zniszczona jeszcze dłuższym pobytom w mieście i ślęceniem nad robotą. — Powiedz, moja kochana! powiedz. Dam ci jabłek, bo mi z domu właśnie trochę przysłali. — No powiedz-że.

— A! odpoczep że się ty odemnie — zachnęła się mała. — Właśnie, tobie powiem! Wybrała się. To nie twój interes, tylko mój. Trzymam

tem tę suchą wierzbę i nie dam sobie teraz krzywdy zrobić! Niema głupich! Tak! tak! — paplała, chuśtając się z robotą na krześle. — Buzia na klódeczkę, ale teraz swoje robić będę! Tymczasem pracownia stopniowo wypełniać się zaczęła. Co chwila drzwi otwierały się z trzaskiem i wpadały przez nie dziewczęta różnego wieku i wyglądu. Duża sala zaszumiała siłowym gwarem szeptów, wybuchów śmiechu, wykrzykników, i suwaniem krzeseł potracanych niesforne rękami.

Wśród tego chaosu, przypominającego bezładny wyrój pszczoł szukających gniazda, wybił się od czasu do czasu ostry, przenikliwy głos panny Karoliny, nawołującej surowo do porządku i spokoju. Nakoniec pierwszy gwar przycichł. Młodość ujęta w karby cozielennej pracy, przygasła, ciemne i jasne głowy pochyliły się poddańczo nad robotą, wyraz skupienia i zaciętości osiadł na młodych twarzach.

Wytwórcza, olbrzymia maszyna ludzkiej pracy w ruch puszczona została.

Jedna tylko mała Baśka, jak mucha natrętna przypadała do której z pracowników, rzucając jej w ucho żart zaczepny lub cyniczne słowo, lecz widząc w końcu, że jej zaczepki przyjmowane zostają pogardliwym milczeniem — usunęła się w kąt, z zaciętością wyciągając fastrygi z bluzki rzuconej jej przez pannę Karolinę.

— Patrzcie, jakie gorliwe — mruczała przez zęby, krzywiąc w ironicznym uśmiechu swoją bladą, łobuzerską twarz. — Ciekawam jak długo potrwa ten zapal do roboty. Już po godzinie kręcić się zaczęła i chichotać.

— Baśka, bądź cicho — zaskrzeczał głos panny Karoliny.

— Oh! dlaczego nie! — zaśmiała się bezczelnie. — Do usług pani! Milczę jak ryba w boleściach!

Marta nie odwracała oczu od roboty. Zła była na siebie, za myśli, które bez jej świadomości powstawać zaczęły w jej mózgu. Zła była, że te myśli, które uporczywie krążyć zaczynały około postaci młodego Wankego, nie mogąc się od niej oderwać, pomimo, iż wyrzucała sobie ostro, że za wiele uwagi przyłożyła do słów i rad ciotki Flory.

— Cóż mnie ten człowiek obchodzić może? — starała się przywrócić do równowagi. — Pracuję tak sumiennie, że pochwała taka nie powinna mnie zbytnio poruszyć. Wszędzie spotkałoby mnie to samo.

A jednakże po raz pierwszy, odkąd chodziła do pracowni, Marta w wyobraźni starała sobie uzmysłowić twarz młodego szefa, którego właściwie nie знаła dotąd, choć parę razy przechodząc przez salę, przystanął też przy jej stolku i zapytywał, jak czuje się przy nowym zajęciu.

Odpowiadała wówczas nie podnosząc głowy grzecznie, z pewną wdzięcznością za jego zainteresowanie — ale odpowiadałaby w ten sam sposób, gdyby chodziło o starego Wankego, lub pannę Karolinę.

Włec skądże teraz to nagle zajęcie się nim, jako człowiekiem-mężczyzną?

Myśli Marty nagle przerwane zostały donośnym szmerem, jaki powstał na sali.

Mimowoli spojrzała ku drzwiom.

Stał w nich młody Wanke, bystrem spojrzeniem ogarniając całą pracownię.

Nie zauważyła nawet kiedy wszedł.

Już panna Karolina stała przy nim z uprzejmym uśmiechem na wykrzywionej wieczną flusą twarzy, błyskając żywo małemi oczami, opowiadała mu coś z zajęciem.

Ale młody szef nie zwracał wcale na nią uwagi. Niecierpliwie, szybko podszedł kilka kroków dalej i wzrok jego padł w stronę okna, tam gdzie siedziała Marta.

Na chwilę skrzyżowały się ich spojrzenia i Marta po raz pierwszy w życiu splonęła gorącym szkarłatem pod badawczym, śmiałym wejrzeniem mężczyzny.

Dziwnie silny i przejmujący musiał być ten wzrok, kiedy nie odwróciła rozgorzałych nagle źrenic, a tylko przywarła je chciwie do tamtych ośladniących, jak zaborcza fala oczu i pła z nich bez pamięci blask, zapadający w całą jej istotę gorącym, płomiennym prądem.

Trwało to kilka sekund może, a Marcie się zdawało, że tak już było dawno, że tak być powinno, że tego człowieka, który po raz pierwszy wysłał ku niej na zwiady ukryte zapytanie duszy i zmysłów, zna oddawna, że jest jej bardzo bliskim, bardzo znanym.

Zatrzepotały silnie rozszerzone, ocieślała po-

wieki, cofnęły się w głąb olśnione oczy i Marta zwiesiła ciężko głowę na piersi, jak gdyby spadł na nią nagle ciężar nad siły.

Kiedy odzyskała cokolwiek równowagi, młodego Wankego w pracowni nie było już.

Panny znudzone parogodzinną pracą, rozmawiały przyciszonym głosem, na piecyku żelaznym bulkotał monotonna duży czajnik z wodą na herbatę.

Baśka w podrygach przygotowywała szklanki, brzęcząc nieznośnie łyżeczkami, zwracając się co chwila z jakimś żartem do koleżanek. Twarze pracowników weselsze już były — znikł z nich wyraz przymusowego skupienia pierwszych chwil — ale znużenie malowało się już w oczach niektórych chorobliwie zapadniętych, znacząc przedwczesnym przeżyciem ukarminowane usta i policzki.

Dnia tego godziny wlokły się nieznośnie Marcie. Czekając niecierpliwie wieczoru, aby wyrwać się z pracowni jaknajprędzej.

Nie zdawała sobie sprawy co się z nią działo. Jakgdyby czał jakiś uroczny osiadł na mózgu i usypiał rozkosznie myśl każdą, każdy odruch samowiedzy.

Chciała jaknajprędzej znaleźć się w kuchence swojej odnależonej od ciotki Flory i rzucić się w ciemności na łóżku, aby podtrzymać dalej ten bezład myśli i pograżyć się w odrętwiającym marzeniu, odgradzającym ją od otoczenia i rzeczywistości.

Kiedy nareszcie wybiła godzina siódma, odcichnęła z ulgą. Nie zwracając uwagi na zaczepki i docinki złośliwe koleżanek, które zaciekawilo całodziennie, uparte jej milczenie, ubrała się szybko i wybiegła na ulicę.

Świeże, ostre powietrze orzeźwiło ją trochę. Zapragnęła nagle, tak, jak niegdyś w Zakopanem poolec górzystą ścieżką wśród świerków oblepionych ciężkimi płatami śniegu — brnąć po kolana w sypkim, białym puchu — he! — daleko, aż do podnóży olbrzymich, sinych gór, wiążących horyzont twardym, granitowym łańcuchem.

Zapragnęła uciec choć na czas jakiś od ludzi i od ich natarczywej, bezmyślnej opieki, tak jak uciekała z domu przed niesmacznymi scenami rodzinnymi, nie mogąc patrzeć na moralne upodlenie matki i wstrętny, zwierzęcy egoizm ojca.

Lecz gdzie się tu skryć mogła, w tem wielkimi wrogiem mieście, gdzie każdy przechodzień obcy jej był i daleki, gdzie nie miała ani jednej życiowej duszy, któraby odczuła stan jej obecny.

Bo Marta zrozumiała nagle, że spadło na nią przed chwilą coś, czego jeszcze świadomością swoją ocenić nie mogła, że jakaś nowa, nieznaną siłą targnęła najtajniejszymi nerwami jej odczuć i znakiem niepokoju i zdumienia dotknęła jej zmysły.

O tej godzinie ruch na ulicach był niezwykle ożywiony. Miasto wrzało jakimś instynktownym pragnieniem ruchu i użycia.

Przygarbione ramiona pracowników powracających z całodziennego zajęcia, przeżyły się teraz radośnie pod naporem warliwego prądu krwi, biegnącego żywiej w żyłach, zmęczone oczy rozbiły nadzieją wypoczynku i rozrywki.

Ożywione, podniecone pozostawiając za sobą cały ciężar pracy i nudy tylogodzinnej — spieszyły teraz bezwolne i zuchwale ku innemu życiu, które nęcącym głosem wołało je ku sobie, oblecując najcudowniejsze miraż przeżyć i wsierzańnię nieznaną jeszcze.

Oślepienie blaskiem, który nawet ich małe mózgi porwał w krag swoich promieni — jak śmy fatalistyczne leciały do tego ogniska otchłani, przy którym rozpalić się do zatracenia miały ich młode, niedojrzałe istnienia.

I Marta wpólnieprzypadła biegła za niemi, potracana w tym rozszalałym tłumie, porwana bezwiednie prądem ruchliwym gubiącym się w chaosie. Na nią nie czekał nikt. Mijała szybko złączone przytulieniem ramion pary szepczące z namiętnym pośpiechem, jak gdyby każda powetłować chciała czas stracony, nie słyszała słów gorących, dzwoniących jak pobudka wokół siebie, nie widziała spojrzeń zamglonych spojonych ze sobą niedomówioną tęsknotą.

Nie mogąc się wydostać na szersze przestrzenie, gdzie w ciszy samotnej mogłaby spojrzeć w siebie i zrozumieć odgłosy, które się w niej tak niespodzianie rozegrały — chciała choć teraz jaknajprędzej dobiec do mieszkania i odłączyć się od ruchu, który ją drażnił.

(Ciąg dalszy nastąpi).